



ISSN 1508-2393

# **PRACA nad sobą**

**A PERIODYK      M A R I A W I C K I**  
Zeszyt 70      Kraków, kwiecień 2013 r.

## **Sny w rozwoju duszy**

Ludzi, którzy nigdy nie mają marzeń sennych jest w świecie nie wiele. Przeciętny człowiek nierzadko miewa marzenia senne w czasie snu. Niektórzy ludzie miewają je również w czasie świadomości daytimej - tak zwane „sny na jawie”. W różnych epokach sny miały różne znaczenie dla człowieka i mogły być w rozmaity sposób prawidłowo przyjmowane. W pradawnych czasach człowiek nie miał trudności z rozpoznawaniem symboli sennych. Wiedział kiedy sen mówi o rozwijającej się w nim, choć jeszcze niewidocznej zewnętrznie chorobie, kiedy daje mu wskazówki do właściwego działania, a kiedy zapowiada nieuniknione wydarzenia. Wszyscy słyszeliśmy o opisanych w Biblii wieszczych snach patriarchy Józefa, czy tłumaczonych przez niego snach faraona, śnie Jakuba i innych przytoczonych tam podobnych wydarzeniach. Zarazem główny nurt przygotowujący Naród Wybrany do wydania przez siebie

Zbawiciela opierał się głównie na przeżyciach w świadomości dziennego czuwania. Nie wymieniając licznych przykładów biblijnych, zatrzymam się tylko na wydarzeniu patriarchy Abrahama. Fizycznymi zmysłami ogląda on trzech wystąnców, którzy spożywają przygotowany dla nich materialny posiłek, a jednocześnie wzrokiem duchowym postrzega, że z tym wydarzeniem łączy się ważna treść duchowa. O tym, że Abraham postrzegając fakty zmysłowe zarazem osobno ma widzenie duchowe, powiedziane jest najwyraźniej w wersecie 22. rozdziału 18. Księgi Rodzaju, który (w polskim tłumaczeniu) brzmi: *...i zwrócili się stamtąd mężowie i szli do Sodomy. Ale Abraham stał jeszcze przed Panem i przybliżywszy się rzekł...* Powiedziane jest tu jasno: świadomy kontakt duchowy z Panem trwał, choć widoczni zmysłowo wystąnci już odeszli.

Ostatnimi „prawomocnymi” były wieszczę sny świętego Józefa, małżonka Marii z Nazaretu dotyczące ich ucieczki do Egiptu. Od chwili Ofiary Krzyżowej Jezusa Chrystusa Jego lud ma się kierować jasną świadomością dzienną i równie jasnymi, świadomymi postrzeżeniami w wyższych światach. Przy pełnej świadomości dziennej odebrał święty Piotr zniesienie zakazu pokarmów „nieczystych”. W świadomości dziennej odebrane zostały widzenia Szawła i Ananiasza z Damaszku zmieniające tego pierwszego w Apostoła.

W starych, dziś już nieaktualnych, sennych, zdegenerowanych sposobach widzenia lubią się wyżywać duchy ciemności pragnące sprowadzić jak najwięcej zamieszania w życie duchowe. Stąd od czasu Zbawczego Czynu Chrystusa słuszne jest powiedzenie „sen - mara; Bóg - wiara”. Nie znaczy to jednak, że nasze sny są dziś czymś złym, czymś niepotrzebnym i nic nie

znaczącym. Nie wolno się nimi posługiwać tak, jak mogli to robić jeszcze święty Józef i inni ostatni święci uczestnicy Starego Zakonu. Chyba każdy z nas miał sny, które się okazały potem wieszczce i chyba każdy z nas czuje to dobrze, że niestety nie potrafi od razu rozpoznać, który jego sen jest wieszczy, a który bezsensowną płataniną marzeń.

Jednak po tym co się dzieje z naszymi snami, można poznać pewne skutki wykonywanych przez nas ćwiczeń duchowych. Gdy nie pozwalamy naszym uczuciom i myślom bujać dowolnie, gdy w wyznaczonych na to okresach czasu kształtujemy je świadomie w modlitwach adoracyjnych, medytacjach, lub po prostu w ćwiczeniach koncentracyjnych, możemy czasem zauważyć, że nasze sny zaczynają wykazywać wewnętrzną logikę, może niezrozumiałą ale wyczuwalną. Albo coraz częściej w czasie snu jesteśmy świadomi tego, że to sen. U niektórych osób pojawiają się w ciągu następnych nocy dalsze ciągi poprzednich snów lub całe serie snów na jeden temat (znam osobę, która to nazywa serialami snów). A przy tym pojawiają się sny świetliste, niewątpliwie coś znaczące, wzywające nas do konkretnych postępów. Czy można im ufać?

Pewien mój znajomy, intensywnie wykonujący ćwiczenia duchowe, przeżywający i nocami i na jawie takie sny, zastanawiał się czy nie zwariował i zapragnął porady psychiatry. Doradzono mu warszawskiego psychiatrę Kazimierza Dąbrowskiego, który oprócz fachowego wykształcenia psychiatrycznego posiadał spory zakres wiedzy duchowej. Ten po standardowym zbadaniu jego zdrowia psychicznego i wysłuchaniu powstałych problemów powiedział: *Wariatem pan jeszcze nie jest, ale jeśli pan powie sobie, że jest pan wybranym Bogu,*

*prorokiem otrzymującym objawienia, to rzeczywiście będzie pan wariatem. Jeśli pan sobie będzie wmawiał chorobę psychiczną, zastanawiał nad jej rzekomymi objawami, to też ją sobie pan wcześniej czy później skutecznie wmówi i wariatem zostanie. Niech się Pan cieszy, że ma pan tyle różnorodnych snów w nocy i na jawie. Ma pan rozrywkę za darmo, nie musząc płacić kinowych biletów (było to w czasach, kiedy publicznej telewizji w Polsce jeszcze nie było). Nie należy lekceważyć obrazów sennych tak, jak błędem jest lekceważenie programów kinowych. Odpowiedni program może pana przekonać do jakiejś prawdy, może wezwać do jakiegoś działania. Ale trzeba rozważyć rozumem, czy nowa prawda nie jest złudzeniem, czy powstający impuls woli jest słuszny. To samo z pańskimi prawdami i poleceniami otrzymywanymi w snach. Jeśli się pojawia coś wyraźnie ukształtowanego - zastanowić się rozumem, czy jest to nonsens, pokuszenie złych duchów, czy rzeczywisty prawidłowy impuls duchowy. Niech pańskim działaniem kieruje zawsze rozsadek.*

Nie wiem czy Antoni Siemowit, autor wstępnego artykułu w poprzednim zeszycie „Pracy” otrzymał od kogoś podobne pouczenie, czy sam doszedł do tego, ale jego „przeżycia” można uważać za wzorcowy przykład prawidłowego postępowania z świetlistymi snami. Poczytajcie ten artykuł wolno i wyraźnie jeszcze raz. Zaraz w pierwszym akapicie autor widzi we śnie Chrystusa i anioła, który mu mówi o stygmatach. Może niejeden odbiorca takiego snu po obudzeniu ukląkłby „nastadzając” się otrzymanym widzeniem i kontemplował istnienie stygmatów. Ale autor artykułu najpierw idzie do komputera i studiuje historię stygmatów, żeby sobie

móc wyrobić własny sąd. Niestety tego było za mało, żeby dać odpowiedź na pytanie anioła. Następny sen na ten sam temat też nie skłania go do mglistych rozptynięć świadomości w pseudomistycznym odbieganiu od rzeczywistości, lecz do intensywnego studium Pisma Świętego. Dalszy ciąg polecam czytelnikom do samodzielnego, uważnego przestudiowania.

Chcę tylko zauważyć, że o ile spowiednik autora namawia go, aby opisał wynik treści swoich rozważań, a nie wspominał drogi, w jakiej do tego wyniku doszedł, to ja się właśnie cieszę, że opisał tę drogę. Dla nas wszystkich, którym sny zaczynają się „porządkować” jest to użyteczny przykład, jak z nimi postępować: każdy znaczący sen poddawać rozumowej ocenie.

I jeszcze jedno. Ktoś może być przestraszony prawdą wiedzy duchowej, do której dochodzi i omawiany autor, że przed przyjściem Chrystusa na sąd zwany popularnie „ostatecznym”, ludzie „żywi”, rozwijający się prawidłowo nawet zewnątrz będą się różnili od „umartłych”, idących za pokuszeniami Lucyfera lub Mefistofelesa. A jeszcze bardziej może ich przerażać, że pierwszym wyrazem tej różnicy mają być bolesne przeciw stygmaty. To prawda, że kształtujący się, wzrastający duch-człowiek nie będzie się mógł zmieścić w obecnym fizycznym ciele ludzkim. Coś niecoś napisałem już o tym z innego punktu widzenia w „Pracy” (zeszyt 69. s. 4). Pięć ran Chrystusa znalazło się właśnie w tych miejscach ciała, gdzie jest ono szczególnie „uciskające” dla duchowo dojrzałego człowieka. Chrystus zdziałał to nie dla siebie, ale dla nas. On pierwszym odniósł te pięć ran, aby umożliwić

nasz rozwój mimo grzechu, który zdegenerował nasze ciało. Czy wszyscy uczniowie Chrystusa są powołani do przecierpienia wraz z Nim jego męki? Czy wszyscy są powołani do noszenia stygmatów? Dobrze jest nie odpowiadać na pytania, na które odpowiedzieć nie potrafimy.

St.F.



## **Ważność Zmartwychwstania**

*Jak w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy będą ożywieni (1 Koryntian 15:22).*

W tajemnicy Wielkiejjocy można wyróżnić dwa aspekty: pustego grobu i Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Oceniając dziś te aspekty wydaje się, że dla ówczesnie żyjących w Jerozolimie fakt pustego grobu był ważniejszy od Zmartwychpowstania. W warunkach politycznego podporządkowania Narodu Wybranego imperium rzymskiemu pusty grób i zniknięcie zwłok z grobu to były ważne wydarzenia. Pusty grób Jezusowy mógł budzić ciekawość z przyczyn ludzkich.

Jezusa skazanego przez sąd rzymskiego okupanta powieszono na krzyżu. Skazaniec został dobity przez legionistę. Legiony starorzyskie to jedna z najlepszych antycznych armii. Żołnierz legionów przechodził staranne wyszkolenie i był nie tylko zdyscyplinowany, ale umiał perfekcyjnie zabijać. Cios wymierzony w prawy bok Jezusa Chrystusa doszedł do serca i musiał spowodować natychmiastową śmierć. Uderzając w prawy bok legionista dobrze wiedział, że cios zadany w bok lewy mógłby ominąć serce i nie spowodować natychmiastowej śmierci. Rzymskie urzędowe pieczęcie na kamieniu

zamykającym grób gwarantowały nienaruszalność grobu. Zerwanie pieczęci to wejście w konflikt z potężnym imperium. Na straży nienaruszalności grobu postawiono nadto legionistów, którzy bez rozkazu nie odeszliby z posterunku, ani nie przestraszyliby się osób usiłujących wykraść zwłoki. Mieszkańców ówczesnej Jerozolimy wobec tego mogły nurtować głównie wątpliwości dlaczego grób był pusty?! Rozpuszczone wieści o kradzieży zwłok Jezusa prowokowały domysły - kto był tym śmiałkiem, który się targnął na władze imperialne? Dla podbitego Narodu Wybranego pusty grób świadczył o politycznej porażce zaborcy. Mógł być świadectwem tworzącego się ruchu oporu wobec rzymskiego najeźdźcy. Oporu, który po raz pierwszy skutecznie przełamał rzymską dominację nad społecznością jerozolimską.

Nie pusty grób stał się jednak w rzeczywistości istotą Wielkiejnocy. Marzenia ludzkie o oporze przeciw Rzymianom musiały ustąpić przekonaniu, że w momencie Zmartwychwstania złamała się uznawana do tej pory zasada o nieodwracalności śmierci. Jakże odmienną ocenę wydarzeń związanych ze Zmartwychwstaniem Jezusa daje wiara w Jego nauki. Nie dominuje tu element ludzkich przewidywań, ani kalkulacji politycznych. W praktyce okazało się, że nie pusty grób był i jest najważniejszy. Ilustruje on wprawdzie wydarzenie w Jerozolimie, ale nie jest artykułem wiary. Pusty grób nie jest warunkiem, ale tylko komentarzem wydarzeń Wielkiejnocy. Istotą było zwycięstwo Jezusa nad śmiercią fizyczną. Od tego momentu człowiek może żyć w Chrystusie. Chrześcijaństwo nie wzywa wiernych do pustego grobu Jezusa, ale do spotkania z żyjącym Bogiem Jezusem-Chrystusem; poszukiwania Go przez ludzkość na drodze życia. W całym zdarzeniu niezmiernie ważne jest zapisane w Biblii stwierdzenie anioła przy grobie: *Nie masz Go tu, bo zmartwychwstał* (Mateusz 28:6). Zbędne jest więc nachylenie się nad pustym grobem i doszukiwaniem się w nim istoty Zmartwychwstania. Skoncentrować się musimy na życiu i naukach Jezusa oraz na praktykowaniu tych nauk. Teologowie mówią, że współżycie wiernych ze

Zmartwychwstałym Chrystusem można porównać do organicznego zrośnięcia się szczepu z drzewem, na którym szcep umieszczono. Wierzący wszyscy stanowią jedność w Bogu (Galatów 3:28) jak przywołany szcep z pniem drzewa. Różnice formalnie dzielące ludzi nie powinny zniszczyć tej jedności. Równocześnie konieczna jest świadomość naszej ludzkiej słabości i częstej przegranej z pokusami. Ludzka niestałość powoduje, że szcep na pniu wiary nieraz obumiera. Dlatego w naszej drodze za Zmartwychwstałym konieczna jest pamięć na ostrzeżenie dane przez Jezusa w Ogrodzie Oliwnym: *Czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokuszenie* (Matrusz 26:41).

Przeżycie duchowe Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa oznacza próbę wgłębienia się w wielką tajemnicę wiary. Człowiek musi w swej ziemskiej wędrówce zmierzyć się z problemem powstania Jezusa z grobu i z konsekwencjami wynikającymi z tego faktu. Dla współcześnie wierzącego wiara w życie Jezusa Chrystusa po dniu Zmartwychwstania jest najważniejszą wskazówką. W rozumnym zaufaniu Bogu i Jego Zmartwychpowstaniu mamy mieć - jako wierzący - „archimedesowy stały punkt oparcia”. Pamiętać należy, że Zmartwychwstanie zapowiadało możliwość budowy nowego porządku między ludźmi pod znakiem Bożej przyjaźni do człowieka i pokoju między ludźmi. Od naszych postępków i wiary będzie więc zależało, czy będziemy „ożywieni w Chrystusie”. Poeta w natchnionym wierszu napisał:

*...Chrystus zmartwychwstał! Śpiesz duchu strapiony,  
Zmartwychwstać z Bogiem, do nieba się wznieść.  
Grobowy kamień, co-ć serce naciska,  
Odwal z swych piersi i żyw z martwych wstań! ...*

W. Syrokomla - *W dzień Zmartwychwstania*

*brat Józef*





## *Z przedstawionych nam problemów*

### **RELIGIA JAKO SYSTEM ETYCZNY**

Doktor Tomasz Kwast w oryginalnym wyznaniu swojej niewiary („Praca nad sobą” zeszyt 68 s.9) tłumaczy dlaczego przestał być chrześcijaninem, ale pochwała religię jako system moralny i przytacza tu dziesięć Bożych przykazań, które - o ile dobrze pojmuję kontekst jego wypowiedzi - uważa za etyczne zasady chrześcijańskie. Są to jednak po prostu zasady moralności Starego Testamentu dane na górze Synaj. Owszem jeśli weźmiemy całość Zakonu Mojżeszowego, a więc między innymi zakaz wyrzucenia z domu schorowanego, niezdolnego już do pracy niewolnika, który pragnie opieki, a nie wolności, szlachetnego obchodzenia i pewnych praw nabywanych automatycznie przez wojenną brankę, którą zdobywca uczynił swoją nałożnicą, czy zakaz wycinania owocowych drzew w sadzie wroga, to niewątpliwie prawo mojżeszowe górowało i wycuciem praw człowieka i elementami ekologicznymi nad brutalnymi prawami okolicznych narodów. Lecz jeśli tylko sucho wymienić brzmienie dziesięciu przykazań, to można je traktować - podobnie jak prawa Hammurabiego - jako system mówiący nie rób tego drugiemu, czego nie chciałbyś aby robiono tobie. Nie studiowałam uniwersyteckiej psychologii więc nie wiem czy każdy dzisiejszy materialista powie „oczywiście tego muszę przestrzegać”, czy może raczej uzna „skoro inni robią wobec mnie rzeczy których zupełnie bym nie chciał, to i ja nie mogę być głupszy od nich i muszę dbać o moje sprawy nawet gdy moje działania są dla innych skrajnie przykre.”

Ale tym bardziej sobie myślę, czy miałby jakikolwiek sens przestrzeganie nie etyki starotestamentowej, ale tej chrześcijańskiej dla niewierzącego w to, że dusza ludzka

jest przeznaczona wieczności. Chrystus pochwała zasady moralności mojżeszowej, ale przeciwstawia im wyższe, nowe zasady. W tak zwanym „kazaniu na górze” jest dane dziewięć błogosławieństw (Ci, co się odłamali od prawostawia, powiadają, że jest ich tylko osiem), które są najbardziej prostym i zwartym omówieniem etyki chrześcijańskiej. W miejsce 10 Przykazań rozpatrzmy 10 wersetów - od 3. do 12. z 5. rozdziału Ewangelii św. Mateusza.

Pierwsze błogosławieństwo mówi o ubogich duchem. W oryginale użyte jest tu greckie słowo πτωχοι (ptochoi) - biedni, mający mało, i żebrzący o więcej, (w tłumaczeniu cerkiewnosłowiańskim i nowym, rosyjskim po prostu żebracy ducha). Jest oczywiste, że każdy współczesny niewierzący łatwo zauważy u siebie brak zamożności i może się stanie żebrakiem pieniędzy albo czasem złodziejem pieniędzy, ale czy zauważy u siebie zbyt małą, nierozwiniętą duchowość? A jeśli zauważy, to co mu pierwsze błogosławieństwo obiecuje w nagrodę za żebranie o ducha? Obiecuje mu Królestwo Niebieskie. No nie, dla niewierzącego to nie wydaje się wartościową nagrodą.

Drugie błogosławieństwo obiecuje cichym (skromnym), że posiadą Ziemię. Kiedy posiadą? Po sądzie Bożym i końcu świata. Ale coż taka obietnica znaczy dla materialistycznie rozumującego człowieka.

Trzecie obiecuje płaczącym pocieszenie. Kiedy? Też w przyszłości - po końcu świata. Wniosek jak poprzednio. Obiecują ci pociechę nieistniejącą. Lepiej zrobisz człowieku, jeśli zmądrzejesz, odrzucisz sentymenty, sprytnie się urządzisz i teraz zaraz przestaniesz płakać. Niech płaczą inni.

Podobnie piąte błogosławieństwo obiecuje, że pragnący sprawiedliwości kiedyś się jej doczekają i nią nasycą. I znów pytanie „kiedy to się stanie” jest dla materialisty retoryczne.

Może w środkowym, piątym błogosławieństwie jest jakaś nadzieja, że miłosierni czasem dostępują miłosierdzia już tu, już przed śmiercią. Ale przecież obserwacja nam mówi, że nie zawsze, że tylko czasem, wyjątkowo się tak zdarza.

Dopiero szóste błogosławieństwo nie dotyczy dalekiej przyszłości. Twierdzi, że ludzie czystego serca oglądają już teraz Boga. Ale co ma myśleć o oglądaniu Boga człowiek w Boga niewierzący?

Siódme błogosławieństwo obiecuje czyniącym pokój tytuł Synów Bożych. Tak, to dla lubiących tytuły może być pobudką do czynu. Ale czy próbowaliście czynić pokój już niekoniecznie pomiędzy Żydami i Palestyńczykami, ale na przykład pomiędzy małżonkami w skłóconej, rozpadającej się rodzinie?

Ósme błogosławieństwo obiecuje królestwo niebieskie (to już wiadomo, że po śmierci) cierpiącym dla sprawiedliwości. Nie warto bliżej rozpatrywać takiej nagrody, jeśli jest się niewierzącym.

No, a dziewiąte błogosławieństwo obiecuje bardzo obfitą, choć nie powiedziano jaką, zapłatę tym co cierpią nie dla jakiejś idei, prawdy, czy abstrakcyjnej sprawiedliwości, ale dla osoby Chrystusa. Jeśli jeszcze w innych miejscach Ewangelii przeczytamy, że prawdziwi uczniowie Chrystusa będą prześladowani, to dziewiąte błogosławieństwo dla niewierzącego może być tylko przestroga: jeśli nie chcesz zmarnować swego życia trzymaj się z daleka od tego co chrześcijańskie.

Napisałam to starając się myśleć czysto materialistycznie. A nie było to dla mnie łatwe. Ale wiem, że wielu niewierzących czuje piękno obietnic zawartych w dziewięciu błogosławieństwach. Czy tu tylko działa poetyczne piękno, bez przekonania, że w tym tkwi jakaś realność? Czy może podświadome poczucie prawdy? Bo czy może być prawdziwe piękno w nieprawdzie, w kłamstwie?

Trzeba stwierdzić, że istnieje niemało ludzi takich jak Tomasz Kwast, którzy nie wierzą w Boga, w nieśmiertelność duszy, w zmartwychwstanie, ani w nagrodę wieczną, ale widzą jakąś oczywistość w podstawie moralności obecnych narodów cywilizowanych - w pradawnej moralności judaistycznej, mojżeszowej.

Trzeba też stwierdzić, że istnieje wcale nie tak mało ludzi podobnie nie wierzących ale czujący respekt, a nawet więcej niż respekt do zasad moralności chrześcijańskiej.

No i jest oczywistością, że wielu ludzi w praktycznym życiu lekceważy jakiegokolwiek zasady moralne. Nie myślą o jakiegokolwiek przyszłej nagrodzie, a boją się tylko - i to nie zawsze - prawa karnego. Interesują ich wyłącznie obowiązujące świeckie prawa, i to często jedynie po to, aby je móc zręcznie obchodzić. Tacy właśnie są w większości ludzie kierujący dziś globalnymi sprawami materialnego świata.

Właściwie tylko ci ostatni są naprawdę niewierzący, choć czasem z lenistwa lub właśnie z wyrachowania należą formalnie do szanowanych wyznań religijnych.

Podziwiam tych „niewierzących”, którzy potrafią rzeczywiście żyć według zasad moralnych zawartych w takiej, czy innej religii. Niewątpliwie działa tu wychowanie i wyniesiony z domu szacunek do wiary rodziców. Przecież wielu z nich, w tym i doktor Kwast powiadają, że „utracili wiarę”, a więc, że kiedyś ją mieli.

Zbyt mało wiem i umiem, abym miała prawo twierdzić, ale gdzieś głęboko tkwi we mnie przekonanie, że ci szanujący religijne zasady moralne, są podświadomie wierzący. Ale mam prawo powiedzieć, że w praktycznym działaniu są po naszej stronie, po stronie kochających Boga.

W swym Powtórnym Przyjściu Chrystus zapowiedział ocenę moralności działań, a nie ocenę formalnej przynależności do takiej czy innej organizacji wyznaniowej.

*Tatiana Romenko*

---



## DWA AFORYZMY

*Czas zatrzymuje się tylko dla umarłych i zakochanych. Ale tylko tym ostatnim jest potrzebny.*

*Prawdziwa miłość przetrwa wszystko. Z wyjątkiem kryzysu  
(paliwowego).*

Honorata Korpikiewicz



\* \* \*

*Parno  
powietrze jak elektrolit  
pokrywa srebrem  
nawet dźwięk*

*jestem  
srebrnym lustrem  
powtarzam barwy kwiatów  
oprawnych w zieleni*

*ptasi świergot dzwoni w Anioł Pański  
samolot pod wieczornym niebem  
deszcz*

*nad ranem  
matowieję na chwilę  
od twoich ciepłych słów*

*zapachy marnotrawią się w zbytku  
rzeczy istnieją dla samych siebie*

25.06.09

Inga Trochimowicz





*Poznajmy bratnie wyznania*

# ANGLIKANIZM

## **Protestantyzm i katolicyzm**

Zerwanie w roku 1534 więzi z Rzymem w teorii otworzyło drogę dla reform w Kościele Anglii. W praktyce jednak zmieniło się niewiele. Postuchajmy profesora Daniela Joslyn-Siemiatkoskiego: *”Chociaż przez jakiś czas Henryk popierał niektóre protestanckie idee, jak usprawiedliwienie przez wiarę w mękę Chrystusa i likwidacja klasztorów jako siedlisk zabobonu i korupcji, jednak odrzucał jednoznaczne przejście na protestantyzm. Do końca okresu sprawowania władzy królewskiej przez Henryka, Kościół Anglii uznawał rzymskokatolickie idee takie jak transsubstancjacja, celibat duchowieństwa czy msze za zmarłych. W momencie jego śmierci jedynymi protestanckimi elementami były niezależność od Rzymu i likwidacja klasztorów. Henryk świetnie się czuł jako najwyższa głowa Kościoła Anglii, zachowującego znaczną część katolickiego systemu sakramentalnego”*. Ma on bez wątpienia rację: król skutecznie przeciwstawiał się reformatorskim dążeniom arcybiskupa Cranmera. Dopiero po jego śmierci, za panowania Edwarda VI (1547-1553), arcybiskup dostał wolną rękę i zaczął jednoznacznie prowadzić powierzoną sobie wspólnotę kościelną ku protestantyzmowi, co - zdaniem księdza Richarda Gilesa, stopniowo doprowadziło go do *”utruty wszelkiego poczucia proporcji”* i opowiedzenia się

po stronie *“rozgorączkowanych reformatorów szwajcarskich, dla których nawet Marcin Luter był jedynie nie budzącym zaufania konserwatystą”*. Proces ten można prześledzić na przykładzie kolejnych wydań *Modlitewnika Powszechnego* - który w anglikanizmie odgrywa nie tylko rolę modlitewnika i brewiarza, ale i mszału, a przede wszystkim jest jednym z najważniejszych instrumentów jedności Wspólnoty Anglikańskiej. W owym czasie zdradza on rosnące wpływy protestanckie. Jednakże młodociany następca Henryka nie cieszył się dobrym zdrowiem i zmarł po niespełna sześciu latach spędzonych na tronie. Jego siostra Maria (1516-1558), córka Katarzyny Aragońskiej, gorliwa zwolenniczka Rzymu, próbowała przywrócić więź z Rzymem. Arcybiskup Tomasz Cranmer został aresztowany i stracony. Jednakże był to dopiero początek prześladowań zwolenników reformacji, które miały zapewnić królowej przydomek *“Marii Krwawej”*. Gdyby jej panowanie trwało dłużej, w Anglii bez wątpienia zatriumfowałaby kontrreformacja. I tym razem jednak przedwczesna śmierć położyła kres dalekosiężnym planom. Następczyni Marii, królowej Elżbiecie Wielkiej (1533-1603) sążone było natomiast żyć i panować długo. I to właśnie za jej panowania i w niemałym stopniu za jej sprawą Kościół na nowo uniezależnił się od Rzymu, a zarazem zaczął stopniowo nabierać własnego niepowtarzalnego charakteru. Oddajmy raz jeszcze głos profesorowi Danielowi Joslyn-Siemiakowskiemu: *„Po śmierci Marii w 1558 roku królową została Elżbieta I, córka Henryka i Anny Boleyn. Niezwłocznie zajęła się ona wspieraniem realizacji protestanckich planów. Widzimy to na podstawie ‘Aktu ujednoczenia modlitw powszechnych i służby Bożej’ z 1559 roku. Akt ten zezwalał państwu angielskiemu na regulowanie kwestii religijnych i karanie tych, którzy nie chcieli się temu podporządkować. Aby przeprowadzić ten akt w parlamencie, zaproponowany w nim modlitewnik zawierał słowa jednak stosowane przy udzielaniu eucharystycznych elementów, które dopuszczały interpretację w duchu rzeczywistej obecności Chrystusa. Również tradycyjne szaty i*

ceremonie eucharystyczne zostały zachowane. Tak więc *Modlitewnik Powszechny* z roku 1559 był reformowany w doktrynie, natomiast konserwatywny w odniesieniu do ceremonii. Ta jakość wyznacza charakter zreformowanego katolicyzmu, który pozostaje znakiem rozpoznawczym anglikanizmu. Innym teologicznym znakiem rozpoznawczym okresu elżbietańskiego była ratyfikacja 39 Artykułów z roku 1563. Włączono w nie protestanckie poglądy na usprawiedliwienie przez wiarę, Pismo oraz ograniczenie liczby sakramentów do dwóch (chrzest i Eucharystie). Zarazem jednak zachowano przywiązanie do tradycji apostołskiej przez pozostawienie wyznań wiary Kościoła, utrzymano rolę [pozostałych] sakramentów jako nośników łaski oraz historycznego episkopatu. Istotny dla dalszej historii anglikanizmu jest Artykuł XXXIV: 'Tradycje i ceremonie nie muszą być wszędzie takie same ani maksymalnie ujednolicone, zawsze bowiem bywały one odmienne i mogą ulegać zmianom w rozmaitych krajach i okresach, stosownie do panujących wśród ludzi zwyczajów. (...) Każdy Kościół partykularny lub narodowy ma prawo ustanawiać, zmieniać lub znosić obrządki i ceremonie ustanowione jedynie przez ludzi, aby służyły one wzajemnemu zbudowaniu'. Ten artykuł wyraża kluczową dla anglikanizmu koncepcję - Kościoły lokalne mogą przystosowywać się do okoliczności o ile nie odstępują od nauczania apostołskiego".

Spory i walki o oblicze Kościoła Anglii trwały oczywiście i po śmierci Elżbiety. Z jednej strony jego wystannicy wzięli udział w słynnym Synodzie w Dordrechcie (1618-19), który nadał ortodoksyjnie kalwinistyczne oblicze protestantyzmowi w Holandii (aczkolwiek trzeba przyznać, że protestowali na nim, zresztą bezskutecznie, przeciwko zniesieniu w Kościele posługi biskupiej), a z drugiej w tym samym czasie biskupem w Kościele Anglii był Lancelot Andrews (1555-1626), uznany przez Włodzimierza Łoskiego za teologa o "prawosławnych poglądach" (jemu właśnie



zawdzięcza anglikanizm często cytowaną deklarację: *”Jeden kanon zawierający słowa samego Boga, dwa testamenty, trzy wyznania wiary, cztery sobory powszechne, pięć pierwszych wieków chrześcijaństwa oraz tradycja Ojców z tego okresu - to znaczy z trzech stuleci przed Konstantynem i dwóch po nim - wyznaczają granice naszej wiary.”*). Podczas gdy jednym przeszkadzały świece na ołtarzu i każdy gest celebransa, który zanadto przypominałby podniesienie, inni starali się jednak zachować przynajmniej niektóre obrzędy i zwyczaje, które w ich rozumieniu wynikały z przekonania o realnej obecności Chrystusa w chlebie i winie. Ostatnia próba nadania Kościołowi Anglii charakteru kalwinistycznego miała miejsce w okresie dyktatury Cromwella (1653-1658) i krótkotrwałych rządów jego syna (1658-59). Zakazano odprawiania nabożeństw według *Modlitewnika* i wyświęcania biskupów, jednak po restauracji monarchii (1660) nastąpił szybki powrót do stanu sprzed rewolucji. Z drugiej strony jednak aż po drugą połowę XIX stulecia nabożeństwo anglikańskie przypominało o wiele bardziej na przykład współczesne nabożeństwa metodystyczne, aniżeli liturgię, którą napotkamy obecnie w większości kościołów anglikańskich. Dopiero XIX stulecie przyniosło, dzięki tak zwanemu Ruchowi Oksfordzkiemu, odnowienie katolickiej świadomości anglikanów. To właśnie za jego sprawą do anglikanizmu powróciły nie tylko przedreformacyjne formy liturgiczne, ale przede wszystkim duchowość i teologia, w świetle których anglikanizm nie jest jedną z wielu postaci chrześcijaństwa ewangelickiego, ale zreformowanym katolicyzmem. Nie wszyscy anglikanie powitali te przemiany ze zrozumieniem i sympatią. Kościoły anglikańskie stanowią duchowy dom zarówno dla chrześcijan określających się mianem protestantów jak i dla tych, którzy pielęgnują duchowość katolicką (niekiedy mówi się w tym kontekście o kierunku *“niskokościelnym”* i *“wysokokościelnym”*, aczkolwiek moim zdaniem te określenia już się w pewnym stopniu zdezaktualizowały). *“Wspólnota Anglikańska”* - pisze ksiądz kanonik Richard Giles - *“posiada*

*unikatową możliwość służenia jako 'MIEJSCE POJEDNANIA' wszystkich Kościołów, oferującą realistyczne modus vivendi w ramach którego chrześcijanie różnych kultur i o różnym zmyśle religijnym mogą współżyć ze sobą w jedności".* Możliwość tę zawdzięczamy przede wszystkim minimalistycznemu charakterowi anglikanizmu. W kazaniu wygłoszonym w marcu ubiegłego roku w krakowskim kościele świętego Marcina biskup Pierre Whalon, zwierzchnik Konwokacji Kościołów Episkopalnych w Europie, powiedział między innymi: „*Anglikanizm jest rudymmentarnym sposobem bycia chrześcijaninem, a nie ideologią. Stara się dać wierzącym konieczne minimum, którego potrzebuje każdy, aby podążać za Chrystusem*”.

## **Eucharystia w anglikanizmie**

Trudno zaprzeczyć, że szesnastowieczna reformacja ujawniła jedną z najgłębszych kontrowersji odnośnie znaczenia sakramentu Ołtarza w historii zachodniego chrześcijaństwa. Istotę tej kontrowersji trafnie ujął ksiądz Gregory S. Neal, pastor metodystyczny z Teksasu, sekretarz Towarzystwa Wesleyańsko - Anglikańskiego, które stawia sobie za cel odnowienie i rozwój anglikańskiego dziedzictwa w metodyzmie, w kazaniu wygłoszonym w maju ubiegłego roku: “*Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, jest moje ciało, które Ja dam za życie świata. (Jan 6:51) (...) Czy Jezus rozumiał to dosłownie? A jak my to rozumiemy? Istnieją tu zasadniczo dwie struktury myślowe. Jest generalne stanowisko protestanckie, o którym słyszymy od baptystów i Zjednoczonego Kościoła Chrystusa [w warunkach polskich powiedzielibyśmy “ewangelików reformowanych” - przypisek brata Izaaka] i innych grup protestanckich, które postrzegają to jako metaforę, aluzję, jako symboliczną, a nie dosłowną, proklamację Jezusa, że mamy go jeść albo*

przyjmować przez spożywanie chleba i picie z kielicha w Komunii Świętej. Ich rozumienie oparte jest na reprezentacji upamiętniającej: jecie i pijecie na moją pamiątkę. Robicie to, ponieważ Jezus powiedział, abyście to robili. Robicie ze względu na polecenie: Jedzcie ten chleb i pijcie z tego kielicha. I rzeczywiście, nie ma tutaj miejsca na nic poza symbolicznym aktem, w którym wspominamy Jezusa i dziękujemy Bogu za Jezusa, ale poza tym nic się tutaj przy stole nie dzieje oprócz realizacji Jezusowego polecenia, aby to czynić na Jego pamiątkę. Ten punkt widzenia, to stanowisko, to rozumienie, pojawiło się - zostało stworzone przez Kościół - w czasie reformacji protestanckiej za sprawą reformatora Zwingliego. Wystąpił on z tą ideą zaledwie kilka wieków temu i zapuściła ona korzenie w pewnych częściach protestantyzmu. Odmienny i dominujący punkt widzenia, który pochodzi od rzymskich katolików, prawosławnych, luteran, episkopalian, niektórych presbiterian i metodystów, stanowi, że Jezus powiedział, co miał na myśli i miał na myśli to, co powiedział. Mianowicie, że gdy spożywamy chleb i pijemy z kielicha w Komunii Świętej... gdy przystępujemy do Stołu Pańskiego i pijemy z kielicha i jemy chleb, w jakiś sposób, przez cud, który wykracza poza nasze rozumowanie, w jakiś sposób, w akcie Bożej łaski, którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć, którego nie jesteśmy w stanie objąć naszym umysłem, a mimo to wiemy z doświadczenia, że jest on prawdziwy, w jakiś sposób rzeczywista obecność Boga w Jezusie Chrystusie zamieszkuje w nas”.

Takie zaklasyfikowanie stanowiska anglikanów u wielu wywołuje zdziwienie. Pewna polska teolog, moja znajoma, która się wywodzi z Kościoła Rzymskokatolickiego i właśnie przygotowuje do przystąpienia do Kościoła episkopalnego w Szkocji, w czasie spotkania teologów zorganizowanego przez KUL opowiadała o swojej fascynacji anglikanizmem. Natychmiast zadano jej pytanie o realną obecność Chrystusa w Eucharystii. Obecni nie zdawali sobie najwyraźniej sprawy z tego, że przekonanie o tej obecności stanowi integralną

część anglikańskiego dziedzictwa. Skąd ta niewiedza? Wydaje mi się, że wynika ona z tego, że w świadomości wielu rzymskich katolików wiara w rzeczywistą obecność związała się w sposób nierozzerwalny z nauką o transsubstancjacji (przeistoczeniu). Oddajmy raz jeszcze głos księdzu Nealowi: *“Kościół Rzymskokatolicki stworzył pewną koncepcję rozumienia tego procesu: nazywa ją transsubstancjacją. Przez transsubstancjację substancja chleba i wina zmienia się - transformuje - w ciało i krew Jezusa. Postacie mogą nadal wyglądać, pachnieć i smakować po prostu jak chleb i wino - ich cechy zewnętrzne pozostają niezmienione, jednak, wewnątrz, ich substancja staje się ciałem i krwią Chrystusa”*. Nauka o transsubstancjacji jest jednym ze sposobów mówienia o rzeczywistej obecności naszego Pana w sakramencie Ołtarza. Jednym, ale nie jedynym!

Prawostawie nigdy się nie podpisało pod tą nauką (choć niektórzy teologowie prawostawni się do niej odwoływali), a przecież nikt, kto choć trochę zna chrześcijaństwo prawostawne, nie będzie kwestionował głębokiego przekonania prawostawnych, że na ołtarzu ofiarujemy prawdziwe Ciało i prawdziwą Krew Zbawiciela. Co więcej, można zadać pytanie, czy jest to najlepszy sposób określenia tego, co się dzieje na ołtarzu. Pozwolę sobie w tym kontekście przytoczyć wypowiedź księdza profesora Józefa Tischnera w rozmowach z Jackiem Żakowskim na temat *Katechizmu Kościoła Katolickiego*, które zostały wydane przez “Znak” pod tytułem *Tischner czyta Katechizm*: *“Kiedy się przegląda literaturę tematu, to ma się wrażenie rozmowy z podglądaczami. Ludzie chcą tę przemianę podglądać. Czasem by się chętnie dało tym podglądaczom po łapach, żeby nie chcieli tak bardzo dużo wiedzieć. Bo w końcu najważniejsze jest to, że On jest tam o b e c n y.”*

Nie podejmując, rzecz jasna, próby „przecignięcia” nieodżałowanego księdza profesora na “anglikańskie pozycje”, trudno jednak nie stwierdzić, że jego uwaga świetnie koresponduje z podejściem, które się rozwinęło w tradycji

anglikańskiej. *“Metodyści i anglikanie - mówi ksiądz Gregory Neal - mówią po prostu: Nie wiemy. Nie wiemy, jak Jezus przychodzi do nas przez chleb i wino. Nie wiemy, jak Jego Ciało i Krew są nam udzielane przy Stole Pańskim. Nie rozumiemy, w jaki sposób Duch Święty czyni Jezusa rzeczywiście obecnym dla nas w sakramencie. Nie pojmujemy metody ani mechanizmu, za pomocą których Jezus jest rzeczywiście obecny w chlebie i winie, ale wierzymy jednak w to, ponieważ doświadczamy tego, gdy przystępujemy do Stołu Pańskiego... Jezus jest rzeczywiście tutaj, jest rzeczywiście obecny i, gdy jemy i pijemy z wiarą, Jezus jest w naszym życiu wciąż na nowo, karmiąc nas, wzmacniając nas, czyniąc nas zdatnymi do misji i posługiwania, przemieniając nas w swoje ręce i swoje nogi, swoje oczy, uszy i usta, abyśmy mogli pójść i głosić Dobrą Nowinę Jezusa słowem i czynem potamanemu i cierpiącemu światu. Nie rozumiemy tego. Nie możemy tego pojąć. Jednak z doświadczenia, z Pisma i z tradycji Kościoła wiemy, że to prawda. Wiemy, że przy Stole Pańskim, w tajemniczy sposób, którego nie możemy pojąć, Jezus jest obecny rzeczywiście i prawdziwie wśród nas. Artykuły o Religii (anglikański Artykuł XXVIII; metodystyczny Artykuł XVIII) mówią że, gdy spożywamy chleb i pijemy z kielicha, w sposób nadprzyrodzony i duchowy jemy i pijemy Ciało i Krew Pana”.*

To anglikańskie “nie wiemy”, które zresztą jest bardzo bliskie stanowisku prawosławnych, nie odnosi się więc do faktu rzeczywistej obecności lecz do “metody i mechanizmu”. Ksiądz George D. Carleton pisał w *The King's Highway. A Simple Statement of Catholic Belief and Duty*, książce wydanej po raz pierwszy w roku 1924, która jest cenionym po dziś dzień wprowadzeniem do doktryny anglikanizmu: *“Nie potrafimy wyjaśnić jak chleb i wino stają się Jego Ciałem i Jego Krwią, tak samo jak nie potrafimy wyjaśnić jak bóstwo i człowieczeństwo zostały uczynione jednością w Betlejemskim Dzieciątku. Nie potrafimy wyjaśnić tajemnicy rzeczywistej*

obecności Boga, który stał się człowiekiem ani w Betlejem ani na ołtarzu. Z tego powodu nie ważymy się jednak jej zaprzeczyć. (...) Dzieciątko było znakiem i instrumentem obecności Boga wśród ludzi, bowiem dzieciątko było Bogiem. Konsekrowany Chleb i Wino są znakami i instrumentami obecności Jezusa Chrystusa z nami w Jego Ciele i Krwi, ponieważ przez konsekrację chleb i wino zostają uczynione jednością z Jego drogocennym Ciałem i drogocenna Krwią. Widzialne instrumenty zostają wyniesione do sfery niebiańskiej i stają się jednością z boską rzeczywistością”.

Jak widać, do świadomości anglikanów, podobnie zresztą jak do świadomości prawosławnych, bardzo mocno przemawiają słowa z liturgii mszalnej: *“Oto wielka tajemnica wiary”*. Tak mocno, że nie uważają oni za właściwe “wyjaśniać” tej tajemnicy za pomocą żadnej ludzkiej koncepcji teologicznej i następnie uważać ją za jedyną prawdziwą doktrynę. Kościół Powszechny skutecznie opierał się tej pokusie przez pierwsze tysiąc lat swego istnienia. Przypomnijmy, że termin *transsubstancjacja* został przyjęty dopiero na Soborze Laterańskim IV w roku 1215. Anglikanie chcą pozostać wierni tej powściągliwości, nawet jeżeli niekiedy przyczynia się ona do niezrozumienia ich nauki przez braci i siostry z kościołów kontynuujących poglądy rzymskokatolickie. To niezrozumienie ujawniło się zresztą bardzo wcześnie, skoro już w XVII wieku biskup Lancelot Andrewes musiał tłumaczyć kardynałowi Bellarminowi: *“Chrystus powiedział 'To jest Ciało Moje'. Nie powiedział 'to się staje Ciałem Moim w taki a taki sposób'. Jesteśmy w zgodzie z wami co do konkluzji: cała kontrowersja dotyczy metody”*.

Czy da się wymienić inne szczególne cechy anglikańskiego podejścia do Eucharystii? Warto zwrócić uwagę jeszcze na co najmniej dwie. Po pierwsze, i tu również pojawia się istotne podobieństwo do ujęcia prawosławnego.

Szczególny nacisk jest kładziony na pneumatologiczny (greckie: πνεύμα = oddech, duch) wymiar sakramentu. Powróćmy jeszcze na moment do kazania księdza Grega Neala: *“Rzeczywista obecność Jezusa jest dziełem Ducha Świętego; chodzi w niej o rzeczy duchowe i to w duchowy sposób, gdy jemy i pijemy, Jezus staje się rzeczywiście dla nas obecny. Nie jest to symbol. Nie jest to transsygnifikacja. To nie jest symboliczny czy metaforyczny akt. Jest to akt duchowy, w którym możemy jeść i pić, przez wiarę, a Jezus Chrystus rodzi się na nowo w naszych sercach”*. Po wtóre należy zauważyć, że w tradycji anglikańskiej bardzo dosłownie traktuje się znaczenie słowa *Eucharystia*, które po grecku oznacza *Dziękczynienie*. W wielu wydaniach *Modlitewnika Powszechnego* określenie “kanon eucharystyczny” świadomie się tłumaczy jako Wielkie Dziękczynienie (*The Great Thanksgiving*).

Pomimo wszystkich zastrzeżeń, które podnoszono w okresie reformacji w odniesieniu do Eucharystii jako ofiary, anglikanie zachowali przekonanie o ofiarniczym charakterze sakramentu, podkreślając jednocześnie, że jest to “nasza ofiara uwielbienia i dziękczynienia”. Eucharystyczna duchowość jest więc, w rozumieniu anglikańskim, przede wszystkim duchowością przepojoną poczuciem wdzięczności do Boga za Jego dary, a przede wszystkim za dar życia wiecznego udzielony nam w Jego Synu. *“Eucharystia pokazuje, - pisze arcybiskup Rowan Williams - że materialna rzeczywistość może zostać naładowana życiem Jezusa i w ten sposób ogłaszać nadzieję dla całego świata materii (...) Jedynie materia Eucharystii, nosząc obecność zmartwychwstałego Jezusa, może być znakiem życia, zwycięstwa nad śmiercią, wykluczeniem i izolowaniem.”* I właśnie za ten dar życia dziękujemy Bogu.

Wśród współczesnych znawców historii teologii pojawiają się jednak głosy, według których arcybiskup Tomasz

Cranmer był właściwie zwolennikiem zwingliańskiego podejścia do Eucharystii. Badacze ci tropią ślady tego podejścia w pierwszych wydaniach *Modlitewnika Powszechnego*, które wyszły jeszcze bezpośrednio spod pióra Cranmera. Osobiście sędzę, że nawet jeśli idee tych reformatorów pozostawiły na nich swe ślady, to jednak anglikańskiej liturgii eucharystycznej nigdy nie przepętniał ani duch Kalwina ani tym bardziej Zwingliego. Jego wpływ nie sięgnął tak głęboko, by podważyć wiarę w rzeczywistą obecność Chrystusa Pana pod postaciami chleba i wina. Natomiast bez wątpienia rzutował on na cały szereg liturgicznych zwyczajów. Powyżej wspominałem już, że się wystrzegano na przykład podniesienia, by nie zostać posądzonym o popadanie w "bałwochwalstwo papistów". Istotne jest również to, że niestety na kilka stuleci odstąpiono od zwyczaju świętowania Eucharystii co najmniej każdej niedzieli. Jeszcze w wydaniach *Modlitewnika* z lat dwudziestych ubiegłego wieku głównym nabożeństwem niedzielnym nie była Eucharystia lecz Modlitwa Poranna, do której, fakultatywnie, dołączano sakrament Komunii Świętej (co prowadzi zresztą do dziwacznych powtórzeń w liturgii - na przykład dwukrotnie odmawia się Modlitwę Pańską). Dopiero od kilkudziesięciu lat można być prawie pewnym, że odwiedzając dowolny anglikański kościół w niedzielny poranek, będziemy mogli wziąć udział w nabożeństwie eucharystycznym.

## **Adoracja**

Sformułowaną w V wieku przez świętego Prospera z Akwitanii zasada *lex orandi - lex credendi* (prawo modlitwy - prawem wiary; innymi słowy: to jak się modlisz określa to, w co wierzysz, nawet jeśli nie zostało to jeszcze ujęte w żadne formuły teologiczno-doktrynalne) świetnie pasuje do anglikanizmu. Co więcej, bez uwzględnienia tej zasady nie da się w ogóle zrozumieć fenomenu *The Anglican way*.



Gdy z górą 7 lat temu zacząłem regularnie brać udział w anglikańskich nabożeństwach, uderzyła mnie postawa, którą obecni przyjmowali w trakcie komunii. W większości kościołów anglikańskich komunikant jest przyjmowany przez wszystkich na rękę (aczkolwiek istnieją również parafie, w których się go przyjmuje bezpośrednio do ust), a następnie, po chwili cichej osobistej zadumy, dłoń wznosi się bardzo ostrożnie do ust w sposób porównywalny z tym, w jaki “wyjadamy” z dłoni drobne owoce czy okruszki, aby nie uronić ani jednego. Ten gest nauczył mnie o wiele więcej o anglikańskim podejściu do Eucharystii niż wszystkie podręczniki teologii, przez które się przedarłem i wciąż przedzieram. Kapłani - w zależności od tego, czy reprezentują bardziej protestancki (“niskokościelny”) czy bardziej katolicki (“wysokokościelny”) typ duchowości - celebrują na różne sposoby: niekiedy przywodzące na myśl ewangelickie nabożeństwo, niekiedy mszę trydencką, ale ten sposób przyjmowania komunikantu, nawet jeśli nie wszyscy go stosują, stał się dla mnie jednym z wyznaczników anglikańskiej tożsamości. Jest w nim tyle cichego pietyzmu dla konsekrowanego chleba, że trudno się oprzeć przekonaniu, że akt spożycia go jest zarazem aktem adoracji i to bez względu na to, jakie rozumienie sakramentu reprezentuje dany człowiek. Nie zmienia to jednak faktu, że dla wielu anglikanów adoracja sakramentalna, która nie wiąże się bezpośrednio z momentem przystąpienia do Komunii, stanowi barierę nie do przebycia.

By zrozumieć ten problem należy przede wszystkim wziąć pod uwagę stan rzeczy, który panował w Kościele w momencie, w którym Kościół Anglii uniezależnił się od Rzymu. Wielbicieli średniowiecznej sztuki sakralnej wiedzą, że najstarsze ołtarze romańskie i gotyckie nie posiadają miejsca na tabernakulum. I rzeczywiście, tabernakula pojawiają się na ołtarzach dopiero w XIII/XIV wieku, przy czym zwyczaj umieszczania ich tam upowszechnia się bardzo powoli. Wcześniej pozostała po liturgii postać chleba umieszczano w

tak zwanych sakramentariach, z boku ołtarza. Były one tam przechowywane z należyтым szacunkiem, ale w zasadzie nie stanowiły przedmiotu rozbudowanego kultu. W momencie, w którym na ołtarzu pojawiają się tabernakula, zaczynają się również pojawiać monstrancje eucharystyczne, których używa się przede wszystkim w czasie procesji z okazji Bożego Ciała, przy czym należy pamiętać, że obchody tego święta stają się szczególnie popularne dopiero w okresie reformacji jako symbol katolickiej wiary i pobożności w opozycji do protestantyzmu. Również w Kościele Starokatolickim w Holandii, któremu w pewnym stopniu udało się zachować przedreformacyjny (a co za tym idzie i przedtrydencki) charakter, monstrancji się właściwie nie używa. Zarówno w czasie procesji sakramentalnej jak i adoracji oraz benedykcji konsekrowany chleb umieszczany jest w cyboriach (puszkach) mających formę ozdobnych kielichów. Monstrancję uważa się tu za, obcy starokatolicyzmowi, przejaw "rzymskości". Stąd było szokiem dla niektórych mariawitów, gdy się dowiedzieli, że ofiarowana przez nich spod serca arcybiskupowi Utrechtu eucharystyczna tuwalnia nigdy nie znajdzie okazji być w tym Kościele użyta.

Samo zjawisko adoracji eucharystycznych postaci poza ścisłym kontekstem eucharystycznej liturgii pojawia się również dopiero w XIII wieku we Włoszech, najprawdopodobniej za sprawą franciszkanów i stopniowo przemieszcza na północ Europy. Jego rozkwit wiąże się - podobnie jak w przypadku procesji sakramentalnej z okazji Bożego Ciała - dopiero z okresem potrydenckim. Jak więc widać większość z tych form, na których opiera się mariawicka pobożność eucharystyczna, pojawiła się w Kościele stosunkowo krótko przed reformacją, a upowszechniła już po niej. W momencie, gdy Kościół Anglii wybierał własną drogę rozwoju, na Wyspach Brytyjskich były one albo całkowicie nieznanne, albo nie zdążyły jeszcze zapaść korzeni. Na ten stan rzeczy nałożyły się przekonania

reformatorów. Pod ich wpływem w okresie panowania Edwarda VII zakazano przechowywania postaci eucharystycznych, nie mówiąc już o ich adorowaniu. W odróżnieniu od tradycji luterańskiej, anglikanizm nigdy się nie opowiedział jednoznacznie po stronie stanowiska, wiążącego rzeczywistą obecność jedynie z momentem sprawowania eucharystycznej wieczerzy. Nawet jednak, jeśli nie postawiono w ten sposób "kropki nad i", biskupi jednoznacznie zakazywali wszelkich przejawów, nie związanego bezpośrednio z liturgią mszalną, kultu eucharystycznego, a nawet limitowali przejawy adoracji w trakcie Eucharystii. Jeszcze w roku 1874 Izba Biskupów amerykańskiego Kościoła Episkopalnego zakazała "takiego podnoszenia postaci w czasie Komunii Świętej, które wskazywałoby na nie jako na przedmioty czci". Dlaczego biskupi uznali taki zakaz za potrzebny i to po upływie ponad trzech stuleci od reformacji? Po prostu, postaciom eucharystycznym jak najbardziej oddawano cześć. Czynie to episkopalia, będący zwolennikami *Ruchu Oksfordzkiego*. Ze względu na katolicką duchowość, którą reprezentują, określa się ich najczęściej mianem anglokatolików. 12 lat wcześniej w Kościele Anglii powstało Bractwo Błogosławionego Sakramentu (*Confraternity of the Blessed Sacrament*), stawiające sobie za cel nie tylko odnowienie przedreformacyjnych form kultu sakramentalnego, lecz również wprowadzenie tych, które powstały lub upowszechniły się w Kościele rzymskokatolickim w okresie potrydenckim i nigdy dotąd nie były praktykowane w Kościele Anglii. Wkrótce potem - obok brytyjskiej prowincji Bractwa - pojawiła się również prowincja amerykańska. Wzrost wpływów anglokatolików spowodował w pewnym momencie iście schizofreniczną sytuację. W wydaniu z 1928 roku amerykańskiego *Modlitewnika* zachowano rubrykę nakazującą celebransowi spożycie wszystkich konsekrowanych elementów, podczas gdy niespełna 20 lat później ujrzał światło dzienne uzupełniający *Modlitewnik świętego Augustyna* (*St. Augustine's Prayer Book*). Jego twórcy podkreślali w przedmowie, że nie

jest ich celem zastąpienie *Modlitewnika Powszechnego*, ale napotykały w nim zarówno liturgię nabożeństwa z wystawieniem i benedykcją, jak i kilka form adoracji. To oczywiste, że nie można było używać jednego modlitewnika, nie łamiąc przepisu zawartego w innym! Kres tej schizofrenii położyło dopiero wydanie w roku 1979 *Modlitewnika* - obecnie obowiązującego w Kościele - który zezwala na zachowywanie konsekrowanych postaci w celu udzielania sakramentu Komunii Świętej w domach i zachowuje roztropne milczenie w odniesieniu do zachowywania ich w innych celach...

Mogę sobie wyobrazić, że cokolwiek oszołomiony tym wszystkim czytelnik, zadaje właśnie w tym momencie pytanie: "To jakie jest właściwie podejście anglikanizmu do adoracji sakramentalnej?" Odpowiedź brzmi: nie ma takiego stanowiska. Istnieją zakazy z przeszłości, które traktuje się raczej jako relikty historyczne i istnieje praktyka modlitewna i liturgiczna, która jest zależna od tego, jaki typ duchowości reprezentuje dana wspólnota lub dany człowiek. Przypomnijmy w tym kontekście słowa biskupa Pierre'a Whalona: "[Anglikanizm] *Stara się dać wierzącym konieczne minimum, którego potrzebuje każdy, aby podążać za Chrystusem*". W Kościołach anglikańskich istnieje jednak również ogromna przestrzeń dla praktyk pobożnościowych, które ponad to "minimum" wykraczają. I jest ona gorliwie wykorzystywana. To właśnie dzięki jej istnieniu brat Paweł, jak sam stwierdził w jednym z wywiadów, "mieścił się bez trudu ze swoim mariawityzmem" w rzeczywistości Kościoła Episkopalnego, chociaż jego pierwszy pobyt w Stanach Zjednoczonych przypadł jeszcze na okres przed pojawieniem się nowego *Modlitewnika Powszechnego*.

*brat Izaak*

W następnym zeszycie „Pracy” zostaną omówione jeszcze dalsze sprawy anglikanizmu,



## *LISTY DO REDAKCJI*



## **Co nam z tego?**

Jestem zaskoczona lutowym zeszytem „Pracy”, Dlatego od razu piszę. Jak bym spokojnie poczekała, to może napisałabym bardziej układnie, ale mogłoby by mi się całkiem odechcieć piania, a myślę, że to jakiś mój obowiązek, bo inni też pomyślą, ale nie napiszą.

Trochę mi się chciało śmiać. Bo w tym lutowym zeszytcie było omówienie artykułu jednego czytelnika, który się uważa za niewierzącego, ale jest przekonany, że trzeba żyć według Bożych przykazań oraz artykuł człowieka, który jest nie tylko wierzący, ale nawet nawrócił jedną Rosjankę, ale dopuszcza możliwość, że to ongiś ludzie stworzyli (skonstruowali ?) Wszechświat. Ale sprawa nie jest do śmiechu, bo brat Paweł nawołuje do szczerogo (szerokiego ?) przedyskutowania tych problemów, a nawet do zainteresowania i zrozumienia ludzi, którzy nie sądzą, że świat będzie jeszcze istniał jutro. W tym lutowym zeszytcie o anglikanach przeczytałam z ciekawością, bo rozumiem, że skoro jakiegoś anglikańskiego biskupa zainteresował bliżej mariawityzm, to my się możemy bliżej zainteresować anglikanizmem. Nawet się pytałam naszego kapłana, a on powiedział, że podobno sama Mateczka proponowała pełne wzajemne uznanie starokatolików i anglikanów i że stąd ich trwała sympatia do nas. Chętnie poczytałabym i o innych wyznaniach mało znanych Polsce. Mało wiem o abisyńskich koptach czy amerykańskich kwakrach. Ale wcale mnie nie cieszy zapowiedź studiowania ateizmu. Czy może mamy rozciągnąć bratnie uczucia na ateistów i wciągnąć ich do ekumenii? Oni przecież są wierzący i to głęboko. Wierzą że Boga nie ma. A może mamy skorzystać z ich poglądów i przyswoić je sobie?

Może jest w tym jakiś sens, ale rozmawiałam z moimi przyjaciółkami i wszystkie byśmy wołały, żeby „Praca” wyjaśniała trudne fragmenty naszej wiary, wzmacniała tę wiarę. Chętnie poczytamy czasem o innych chrześcijańskich wyznaniach i dowiemy się jak w nich wygląda cześć Przenajświętszego Sakramentu, Ale usiłowanie zrozumienia bezbożników? Niech się tym problemem zajmują specjalistyczne czasopisma misjonarskie, psychologiczne i psychiatryczne. Może jestem małej wiary, ale nie wydaje mi się to w naszym aperiodyku właściwe. Wybaczcie, że się ośmielam Was strofować.

Wasza jak zawsze

*Dominika*

---



## **To jest aż tak źle?**

Wiedziałem, że w świecie jest dużo niewierzących. Wiedziałem, że ateistami i agnostykami jest wielu wybitnych uczonych, ale wiedziałem, że i w Polsce i w świecie jest wielu znanych odkrywców przyrodników, którzy nie tylko wierzą w jakąś abstrakcyjną boską istotę, ale regularnie uczestniczą w nabożeństwach swoich wyznań, a także modlą się prywatnie. Zaskoczył mnie artykuł Bogdana Wszołka z zeszytu 69. „Pracy” (s.14). Zastanawiające było dla mnie zarówno, że w kulturalnym - jak by nie było - ośrodku naukowym w Princeton, ktoś się dziwił, że można się jednocześnie zajmować badaniami naukowymi i wierzyć w Boga. A jeszcze bardziej mnie zastanowiło wyznanie autora, że gdyby jakieś fakty naukowe przeczyły prawdom wiary, to bez wahania dałby im pierwszeństwo i odrzucił prawdy wiary. Zastanawiam się w jaki sposób fakty naukowe mogłyby być sprzeczne z prawdami wiary. Mowa jest chyba o współczesnej, materialistycznej nauce zajmującej się tylko zjawiskami podpadającymi pod zmysły. W jaki sposób taka nauka mogłaby mieć coś do powiedzenia o czyśćcu, niebie, przyszłym zmartwychwstaniu, czy o pradawnym stwórczym działaniu Najwyższego? Pamiętam, że gdy przed laty wyszły dwie książki o przeżyciach osób przywróconych życiu po śmierci klinicznej, oraz gdy teologowie szwedzcy opublikowali świadectwa osób, które miały przeżycie Chrystusa, materialistyczni naukowcy odpowiedzieli, że to były wszystko subiektywne przeżycia faktów, których się nie dało zmierzyć żadną

obiektywną nauką aparaturą, a więc nauka nie jest w stanie nic o nich powiedzieć. Pozostają poza zainteresowaniami nauki. Jeśli rozmówcy z Princeton byli materialistami i rzetelnymi ludźmi, powinni byli to chyba też tak rozumować.

Jeśli się jest wierzącym uczonym myślącym materialistycznie, to ma się dwa odrębne systemy świadomości. System materialistyczny dla spraw zmysłowych, podlegających badaniom naukowym i system czysto myślowy o sprawach dotyczących wyższych światów podlegający poglądom religijnym. Tu nie może być sprzeczności, bo rzeczy są na różnych płaszczynach.

Można by pomyśleć, że takie stanowisko jest niemożliwe, bo jakże to mieć jednocześnie dwa różne światopoglądy. Po namyśle rozumiem jednak, że to nie jest dziwne ani paradoksalne. Jeśli można zupełnie inaczej traktować swoje dzieci i cudze dzieci, jeśli można mieć nie tylko inne poglądy, ale nawet zewnętrznie mieć inne zwyczaje w traktowaniu ludzi w życiu prywatnym i w pracy zawodowej, to nic dziwnego, że można mieć inne, bardziej uczuciowe podejście do spraw Boskich i anielskich, a całkowicie sucho, logicznie i z pełnym zaufaniem do materialistycznej filozofii traktować rzeczywistość postrzeganą zmysłami zewnętrznymi.

Ale istnieje też taka odmienna metodologia naukowa zwana goetheanizmem. Tam się stosuje analogiczne sposoby traktowania zjawisk zmysłowych i ponadzmysłowych. I jakoś przeciwieństw pomiędzy naukami przyrodniczymi, humanistycznymi i teologią też nie ma. Każda dziedzina wiedzy wymaga innego warsztatu pracy, ale poznawanie świata czy to materialnego, czy to duchowego jest w istocie sobie podobne, tylko stosowane do różnych płaszczyn bytu.

Czy jest ktoś, kto by twierdził, że jego świat chociażby estetycznych, uczuć, wspomnień i podobnych spraw nie jest realny? Czy jeśli jest realny, to nie można go badać równie rzetelnie, jak się bada zjawiska fizyczne? A może uważamy, że tych rzeczy w ich rzeczywistości badać się nie da i można tylko badać aparaturą fizyczną **skutki** naszych odczuć estetycznych, uczuć i wspomnień?.

Trudno zdobyć literaturę o goetheanizmie w języku polskim. A może by ktoś mógł o tym napisać łatwo, popularnie do „Pracy”. Myślę, że wielu nas przywitałoby to z radością i z pożytkiem dla swojego życia religijnego.

*Franek*

---

**ZAWARTOŚĆ ZESZYTU**

St. F. – **Sny w rozwoju duszy** – s. 1

brat Józef. - **Ważność Zmartwychwstania** - s. 6

Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy** - s. 13

Inga Trochimowicz – \* \* \* – s. 13

**Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:**

Tatiana Romenko - **Religia jako system etyczny** - s. 9

**POZNAJMY BRATNIE WYZNANIA:**

brat Izaak - **Anglikanizm** - s. 14

**LISTY DO REDAKCJI:**

Dominika - **Co nam z tego ?** - s. 29

Franek - **To jest aż tak źle ?** - s. 30

---

**PRACA nad sobą** – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie, oraz na stronie internetowej [www.praca-nad-soba.waw.pl](http://www.praca-nad-soba.waw.pl) Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Konrad M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; [redakcja@praca-nad-soba.waw.pl](mailto:redakcja@praca-nad-soba.waw.pl) oraz [redaktorpracy@interia.pl](mailto:redaktorpracy@interia.pl) . Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,60 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Można też zagraniczną prenumeratę opłacać walutą krajową w redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.

---

---